MARCIN STUDZIEŃSKI.

MARCIN STUDZIEŃSKI.

KARTKA Z KRONIKI WILNA.

PRZEZ

Władysława Syrokomlę.

WILNO.
NAKŁAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.
1859.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno 30 Marca 1859 roku.

Cenzor **Paweł Kukolnik.**

CZCIONKAMI A. MARCINOWSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WIECZÓR MIESZCZAŃSKI.

Stefan Kotwica rajca Wileński
Sprawował ucztę w dzień swego święta,
Rej wodził w tańcu Marcin Studzieński:
Miłém nań okiem patrzą dziewczęta,
Siwi Starcowie patrzą nań mile
Jako na wnuka albo na syna;
Bo pan Studzieński zuch w całéj sile

Każdemu młode dni przypomina.
A nasi starcy plemie junacze
Postarzeć sercem prędko niemogą,—
Za skaczącemi, choć okiem skacze
I rzeskie takty wybija nogą,
Z pod sutych skrętów siwego wąsa
Mruczy piosenkę — snadź dusza rada —
Głowę zarzuca, brodę potrząsa,
I ręce pysznie za pas zakłada.
W dzielnym narodzie wiedzą to starzy
Że być powinni wzorem młodzieży;
I znają dobrze co im do twarzy,
Co dostojności ich przynależy.
Czy kord bojowy, czy puhar w dłoni,
Starzec ochoczo rej u nas wiedzie,
Czy biesiadnicza muzyka dzwoni,
U nas starcowie zawsze po przedzie.

II.

Muzyka dzwoni a młodzież hasa,
I najserdeczniej szumi zabawa;
Zagrzana tańcem dziewicza krasa
Jeszcze się bardziéj promienną zdawa,
I jeszcze ostrzéj do serca sięga
Grot pięknych oczek błyszczący jaśnie;
Furknie w powietrzu dziewczęcia wstęga,
Albo splot włosów po skroni głaśnie
Taki dreszcz dziwny przejmie tancerza,
Że wrazby duszę oddał dziewczynie,
Krew mu do serca młotém uderza
A głowa krąży jakby po winie.

Marcin Studzieński tancerz ochoczy,
Do tańca córkę wiódł gospodarza:
Iskrą goreją młodzieńca oczy,
Iskra dziewczęce oczki rozżarza,
Gdyby nie hucznéj muzyki gwary
Gdyby w podkówki tak nie grzmocono,
Możnaby słyszeć u piérwszéj pary
Jak jednym taktem uderza łono;
Lecz choć niesłychać nic za łoskotem,
Łatwo odgadnąć niemyśląc wiele,
Stare matrony już szepcą o tém
„Będzie wesele.“

III.

Będzie... nie będzie... na dwoje wróży
Babka wrożbiarka śledząc z ukradka.

Bo coś pan ojciec oblicze chmurzy,
A niespokojna coś pani matka;
I pan Wójt miejski nachmurzył lica,
Zwrócił ku ojcu wzrok zagniewany:
„Pocoż ci było wwodzić szlachcica
„Między mieszczany?

— „Żem go wprowadził — nie wielka rzecz,
Jak sobie przyszedł, tak pójdzie precz!
Jeżeli szlachcic stąpając z góry
Zechce nam miejskie uwodzić córy.
Niechaj się każdy dzierży swych granic,
Nam, ich wielmożność niezda się na nic;
Ważność mi wielka! koń i szabelka
Pustka w kieszeni i harda postać!
Sławetna miasta obywatelka
Żoną szlachcica nie może zostać!
Niech się tak bardzo z nami nie kuma,

My się na łasce szlacheckiéj znamy,
U nas jest nasza mieszczańska duma,
Z łokcia i szali, z handlu i kramy.
Tak mówił z gniewem Stefan Kotwica,
Trafił mieszczanom w stronę pochlebczą.
I pan Wójt miejski zachmurzył lica,
I na młodego zucha szlachcica,
Już zmowę szepcą.

IV.

Marcin Studzieński niewie o zmowie,
Nie zważa na nic i na nikogo,
A taniec idzie, grzmocą grajkowie,
A on zajęty Maryą drogą
Na wypoczynek, usiada przy niéj

I tysiąc grzecznych przymileń czyni,
Pieści jéj rączkę, szepce do ucha
A głos ma drżący — braknie mu słów...
A ona rada, śmieje się, słucha,
Ochłodzi oddech — i w taniec znów.

V.

Na półzegarzu już po północy!
Już słychać nocne wołanie stróży,
Już w muzykantach nie stało mocy,
Już i do tańca siła nie służy.
Ucichły huczne skrzypce i kotły,
Tłum się zamięszał po izbie całéj;
Już się tancerzów ręce rozplotły,
Już się zmęczone nogi zachwiały;

I u pań mieszczek, złociste czepce
Już po szklanicy na bakier głowa,
Jedna do drugiéj po cichu szepce:
Już czas do domu pani Majstrowa!
Beczułka wina, jedna i druga
Już pustym dźwiękiem na *finis* dzwoni,
Niejeden mdławo oczami mruga,
I srebrny puhar wypuszcza z dłoni.
„No gospodarzu! żegnać cię trzeba
„Dałeś nam hojnie i pić i jeść;
„Dałeś nam soli, dałeś nam chleba,
„Dałeś nam wina, dałeś nam cześć.

VI.

Goście żegnają pana Kotwicę
I opuszczają gościnne progi,

Tłum panów — mieszczan poszedł w ulicę,
Choć nie każdemu posłuszne nogi,
Słychać w ulicy pochmielne gwary,
Lub głos piosenki ostry a twardy;
Niech sobie zrzędzi stróż miejski stary,
Niestraszne groźby ni alabardy!
„Czyż człek w ulicy krzyczeć nie może
„Gdy sobie podpił kiedy mu stanie,
„Czy my włóczęgi jakie broń Boże?
„Tutejsi kupcy, albo mieszczanie,
„Pacholek miejski!!! żartuj zdrów bracie!!
Tak stroją śmieszki z nocnego stróża.
A w gospodarskiej pustéj komnacie
Została gości garstka nie duża:
Został wójt miasta i dwaj ławnicy
Z siwemi brody, z siwemi głowy,
Czterech przyjaciół pana Kotwicy
I Magdeburski pisarz sądowy.

Sama starszyzna — same sensaty—
Znaczno po wąsach co jeżą srogo,
A w oddalonym końcu komnaty
Pozostał rycerz ze swą niebogą.
Czegoś tam w tańcu nie dogadali
Nie dokończyli jakiejś chychotki,
Więc od starszyzny siedli w oddali
I wiodą z sobą rozhowor słodki,
Rozhowor słodki, pusty, dziecinny
Bez ładu, składu, jakby w pochmielu;
Gdyby go z boku słyszał kto inny,
Mógłby powiedzieć, że poszaleli.
Spytaj się u nich, gadali o czém,
To żadne z dwójga samo niepowie.
„Ot! my gwarzymy, ot my chychoczém,
„Bo nam tak dobrze na téj rozmowie.
Dobrze wam społem!.. strzeżcie się młodzi:
Starsi inaczéj widzą te rzeczy!

Pan Wójt coś groźnie oczami wodzi,
Pan Ławnik szepce i ręką przeczy,
Pan Pisarz miejski nie kończy kwarty,
A pan Kotwica czoło zachmurza;
To zły prognostyk, nie żadne żarty:
Ej będzie burza!

VII.

— „Panie szlachcicu! panie Marcinie!
Zawołał burmistrz najpiérwszy w radzie
„Czy znasz przysłowie: że zła nie minie
„Kto między szparę w drzwi rękę kładzie?
„Czy znasz przysłowie sowy i kruka?
„Proszę na bacznym chować je względzie,
„Niech sobie równy równego szuka;

„Czém czart nie orał, tém siać nie będzie,
„A to się znaczy, że my choć prosci,
„Choć naszych przodków szereg nie długi,
„Mieszczanie Jego Królewskiéj Mości
„Tacysmy dobrzy jak i kto drugi,
„A może lepsi... co to" na świecie
„Niema szlachcianek, wojewodzianek,
„Że córki miejskie uwodzić chcecie?
„Dość tych chychotek i pogadanek!
„Ja wiem szlachcicu co tobie w głowie,
„Że się odurzy biedna niewiasta,
„Wara tych myśli! — ja ci to mówię
Wójt Wileńskiego sławnego miasta.

VIII.

Marcin Studzieński powstał zdumiony,
Krew mu do twarzy warem nabiegła,

W tém pisarz miejski wpadł z drugiéj strony,
Groźny jak Jowisz, kraśny jak cegła;
Szeroko o tém gadano w mieście
Że k' pięknéj Maryi miał affekt rzewny,
Prawda czy kłamstwo—kto to wie wreszcie?
Ale pan Pisarz był bardzo gniewny.
Poprawia pasa, czuprynę muska,
A pogładziwszy ręką po głowie,
Stylem statutu, po polsku-z ruska
Tak się odzowie:
„Wszak Król Jegomość, Jagiełło stary
„Dał nam statuta i pargaminy,
„Ktoby niedobre knował zamiary
„Ma być ukaran wedle swéj winy;
„A Waść kto taki! héj panie bracie
„Co na nas wszystkich poglądasz z góry?
„Na miejskim gruncie, przy magistracie
„Do córki miejskiej stroisz konkury.

„Przecz się szlachice tutaj panoszą
„Pustą kieszenią i tarczą biedną?
„Możesz tańcować kiedy cię proszą,
„Ale nie z jedną!...
„Ale nie z jedną... bo to zniewaga.
„Patrz jak mu piękne smakują lica!..
„To przyzwoitéj kary wymaga!
„Precz ztąd szlachcica!
„Precz ztąd szlachcica!—wszyscyśmy równi:
„Nam nie potrzeba szlachty widoku!
Pan Marcin k' miecza porwał się główni,
Pan pisarz szukał czegoś u boku;
Przyszłaby walka słowo po słowie,
Lecz pan Kotwica huknął jak z beczki:
„Co to się znaczy? Mości Panowie!
„Wara w mym domie kłótnie i sprzeczki!
„Ja was prosiłem panie Studzieński
„Podzielać z nami chleb i zabawy,

„Bom siła liczył na wasz duch męzki,
„Bo byłem pewien żeś rycerz prawy.
„A Waść się znęcasz nad moim progiem,
„Czyhasz na cnotę mojego dziecka:
„Jakeś tu przyszedł, idź z panem Bogiem!
„Nam niepotrzebna łaska szlachecka.
„Idź i niewracaj — albo bądź gotów
„Że cię niegrzecznie za drzwi wywiodę.
„Ty panno córko!... dość tych zalotów,
„Bo cię zasadzę na chleb, na wodę.

IX.

Tak mówił stary groźnie i żwawo,
Aż mu źrzenice iskrami gorą;
Marcin Studzieński z godną postawą

Poszedł ku niemu i rzekł z pokorą:
„Sławetny Rajco! nie w złym zamiarze
„Próg waszych komnat przestępowałem;
„Moje sumienie wyznać mi każe,
„Że waszą córkę kocham z zapałem;
„Chciałem odłożyć moje wyznanie
„Aż przyjaźniejsza chwila posłuży,
„Lecz mnie zmuszacie... niech się więc stanie!..
„Żyć bez twéj córki niemogę dłużéj:
„Rad że rozmowa ku temu zmierza,
„A jéj zprzyjania pewien potrosze,
„Raczcie przebaczyć śmiałość żołnierza
„Że o jéj rękę przy świadkach proszę.

X.

Podumał trochę Stefan Kotwica,
Spojrzał na Wójta i resztę gości,

— „Nie panie bracie!.. niechcę szlachcica,
„Nam niepotrzeba Waszéj Zacności;
„My się na zięcia takiego piszem
„Co go zrodziła matka mieszczanka,
„Co byłby w handlu mym towarzyszem,
„Coby po towar jeździł do Gdańska,
„Coby miał grosza swego dostatek,
„Nie patrząc na to co mu zostawię,
„A na ratuszu u sądu kratek
„Obok mnie zasiadł na rajców ławie.
„A Waszmość szlachcic — herbu Gryf pono;
„Cóż mi z Waszego Gryfa czy Smoka?
„Masz chudą szkapkę, szablę stępioną:
„Ot i dostojność wasza wysoka!
„Pójdziesz na wojnę, lub siądziesz w mieście
„Na teściowego kawałku chleba;
„Jeszczeby bracia rzekła nareszcie,
„Że mi szlacheckich związków potrzeba!

„A toż mi naco? — nie panie bracie!
„Nie waż mi więcéj wdzięczyć się do niéj!
„Lepszy cechowy przy swym warsztacie,
„Niż lichy szlachcic co wiatry goni.
— „Dobrze powiedział... czyta jak z księgi
Krzyknęli goście już podchmieleni,
„Wiwat Kotwica! mieszczanin tęgi
„Co tak dostojność mieszczańską ceni!
Podano gościom miodu antały
I rozpoczęto huczne wiwaty;
Żalem i wstydem przejęty cały,
Rycerz Studzieński wyszedł z komnaty.
Zarzucił rysią delję na szyję,
Hełmem płonące czoło osłania,
I na spłakaną w kącie Maryę
Rzucił boleśny wzrok pożegnania.

CZĘŚĆ DRUGA.

OBMUROWANIE WILNA.

I.

Stara stolica Giedyminowa,
Wilno pieszczota pięknéj natury
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry
To kwiat co w dzikiém zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasz urwisko,
Albo brniesz piaskiem, drogą pochyłą,
Nigdybyś niezgadł że Wilno blisko

Gdyby twe serce silniéj nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszéj wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma
Co się ku miejscu świętemu zbliża;
Korne kolanó samo się zgina,
Serce uderza tętnem żałoby:
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jéj proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili bogom ofiarne Znicze,
Tu przenajświętszéj Panny oblicze
U bramy miejskiéj stoi na straży,
Tu Jagiellończyk, lilija dziewic,
Syn uświęcony Litewskiéj matki,
Patron— przyczyńca, Xiążę, Królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,

Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą.
Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych niezabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starém
Pan rószczkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je głodem, morem, pożarem,
Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
To znów miłościw ku dzieciom Swoim
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie;
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza,
I zbawcze myśli w serce Monarsze.

II.

Tak w śród rozlicznych losów przemiany
Wilno przetrwało drugie stólecie;
Giedymin pierwsze zasnował ściany,
Olgierd gród ojca, kochał jak dziecię,
Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
Bo czuwa nad niem łaska xiążęcia,
Pogańskie czoło starego miasta
Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
I z wież kościelnych zagrały dzwony
Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
A Pan zastępów żegna z wysoka
Litwę i Wilno i Jagiellony.
A choć krzyżackie czasem znamiona
Zawiały tutaj w bojowym szyku,
Polski i Litwy dłoń zespolona

Odparła Niemca aż do Baltyku.
Zaprzestał ufać w zdrad swoich dzieło,
Że nas wyplemi, że kraj nam wydrze,
Gdy pod Grunwaldem Witold z Jagiełłą,
Rogatą głowę strzaskali hydrze.
Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary
Wsławę u ludzi, w łaskę u Boga,
Z Niemiec od Rusi drużyna mnoga
Szła tu osiadać, kupczyć towary,
Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
I żyć pod prawem Litewskiéj ziemi
Co jéj Kniaziowie dobrzy nadali.

III.

Co ojciec począł, to syn dokona,
Uzacnia Wilno nad insze grody,

Xiąże Kazimierz syn Jagiellona
Dał przywileje nowe; swobody.
A kiedy ludzie zewsząd się garną,
Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
Xiążę napisał ustawę karną,
Aby bezpieczne były ich głowy.
Dzieło ojcowskie umocnił jeszcze
Kniaź Alexander prawy nowemi,
Tylko postrachy jakieś złowieszcze
Krążyć poczęły w Litewskiéj ziemi:
Że się odgraża Kniaź Michał Gliński
Na Illiniczow cóś w sercu knowa,
Że ma ich bronić pan Zabrzeziński,
I buchnie w kraju wojna domowa.
A z drugiéj strony, tam od Podola
Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie,
Rycerz w zbroicy dostoi pola,
Ale z bezbronném miastém co będzie?

Póki mieszkańców było w niém mało
Za mur starczyły piersi waleczne,
Dziś już ceglane mury konieczne,
Baszty i bramy mieć już przystało.
By nieprzyjaciel niewszedł tak łatwo
Opasać murem konieczność zmusza
Świątynie pańskie, ściany ratusza,
Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,
To co najświętsze dla duszy człeka,
Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
Gdzie go otacza prawa opieka,
Gdzie ma wytchnienie przy swéj rodzinie,
Może wróg przypaść niespodziewany,
Spali, z bezcześci i pozarzyna,
Więc rada w radę, pany, mieszczany
Opasać murem gród Giedymina.
I z pięciu krańcow, z pięciu stron świata,
Gdzie pięć drog wielkich w mieście się schodzi,

Niech z baszty sterczy groźna armata
By wstrzymać wylew wrogów powodzi

IV.

U nas wiadomo z ojców przykładu
Że gdzie potrzebny środek ochrończy,
Tam gadu gadu a niemasz ładu,
Do dnia sądnego rzecz się nieskończy,
Aż myśl ognista jak promień słońca,
Ku celom bożym powoła rzesze,
Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
Z zimnego głazu iskrę wykrzesze
Aż gorejące natchnieniem słowo
Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową

I sercu czynem zakipieć każe.
W tedy na Litwie żyć już nieszkoda,
Nowych w jéj dziatwie dojrzysz przymiotów,
I ład się znajdzie i święta zgoda,
I duch do ofiar gorących gotów,
Litwin zapomni wraz uprzejmie,
Pójdzie choć w ogień w najlepszéj chęci,
Kęs chleba sobie od ust odejmie,
I krwi ostatnią kroplę poświęci.

V.

Taką ognistość w myśli i słowie,
Taki we wzroku zapał zwycięzki,
Taką potęgę co k' czynom zowie,
Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.

On jako niegdyś Stanisław święty,
Królom i panom nadstawiał czoła;
Jak Oleśnicki równie był zdjęty
Miłością kraju i czcią kościoła.
Wedle pasterzy dobrych zwyczaju,
Po Chrystowemu do serca garnie
I wierne owce swojéj owczarnic,
I wszystek naród swojego kraju.
On za ich sprawę stawił się śmiało
Jak mu kapłańskie każe sumienie,
Chociaż by za to spotkać go miało
Prześladowanie lub umęczenie.
On Alexandra Jagiełły głowę
Uwieńczył xiążąt Litewskich mitrą,
On wzmocnił z Polską przymierze nowe,
Przeniknął wrogów zasadzkę chytrą;
Za jego wpływem, Polska Korona
Na Alexandra błysnęła czele,

A jednak później nieprzyjaciele
Wyzuli starca z Pańskiego łona.
Król się nań gniewem srogim obrusza,
Zamyka przed nim wejście senatu,
Że chrześcijańska Wojciecha dusza
Za lud się wstawia do Majestatu.
Że ze swojego wręcz stanowiska
Śmiał mu przypomnieć kraju ustawy,
Śmiał głośno wołać, że lud uciska
Gliński — powiernik króla nieprawy.
Lecz się kapłańskie niezlękło serce,
Wojciech przed sejmem stanął raz drugi,
I śmiało palcem wskazał na zdzierce,
Słabego pana zdradliwe sługi.
Stawi jak pasterz groźne oblicze,
Jako poddany przed Tronem klęka,
Ażeby tylko królewska ręka
Z szpon Glińskiego wydarła bicze.

Nic niepomogła szlachetna praca,
Uwiedli Króla chytrzy zbrodniarze,
Król od Wojciecha oczy odwraca,
I z przed oblicza odejść mu każe.
I gdyby wkrótce nie śmierci prawa
Co Bóg na Króla przedwcześnie zsyła,
Może drugiego krew' Stanisława
Kartę by dziejów naszych splamiła;
O zacną głowę obrońcy swego
Litwini drżeli po całym kraju:
Król niema serca karcić Glińskiego,
Gliński przebaczać niema zwyczaju.

VI.

Jeszcze za czasów łaski Królewskiéj,
Błagał go Wojciech z radnemi pany.

Aby gród święty, gród nasz litewski,
Był krzepką ścianą obmurowany.
Król, podskarbiego przyzwał ku radzie,
A rozważywszy środki i cele,
Rzekł, że murować przeszkód niekładzie
Ale dziś w skarbie grosza niewiele,
Że to niepilna jeszcze robota,
Że co ma stać się, później się stanie,
—„Nie miłościwy Królu i Panie!
„Do Litwy zewsząd otwarte wrota;
„Tatarzyn goni wiatr w Ukrainie,
„Wielki Kniaź Moskwy z Wami w rosterce,
„Gdy niespodziana chmura nadpłynie,
„Gdy piorun w Litwy ugodzi serce,
„Nie pora będzie murować bramy
„Gdy przyjdzie pożno płakać nad stratą,
„Jeżeli w skarbie grosza niemamy,
„Serca litewskie dał Bóg nam zato!

„Serce ochocze, wierne krajowi,
„Swojemu miastu i chwale Bożéj;
„Każdy z nas znajdzie drobny grosz wdowi,
„Co na ofiarę ojczyźnie złoży,
„Dłonią ubogą, dłonią bogatą,
„Jako kto może niech się przyczyni,
„Ja całe mienie poświęcam na to,
„Mnie dopomogą wszyscy Litwini!
—„Wszyscy Litwini! — zgoda, tak zgoda!
„Niech każdy wzniesie muru kawałek!
Mówił Wileński pan Wojewoda,
Mówił Litewski Wielki Marszałek,
Żmudzki Starosta, Kanclerz Litewski,
Wszyscy wołali jednym wyrazem:
Jak gdyby płomień z iskry niebieskiéj
Wewszystkich sercach wybuchnął razem.

VII.

Wojewodowie, i kasztelany
I wszystek Senat Litewskiéj ziemi,
Rzucają pieniądz garśćmi pełnemi,
Warować miasto tworzą już plany.
Czy który więcéj, czy mniéj bogaty,
Jeden przed drugim pospiesza z darem,
I Jagielońskie w zamku komnaty
Kipią zapału świętym rozgwarem
Już Wojciech Tabor niewyrzekł słowa
Przeżegnał złoto z modlitwą tkliwą,
I łza gorąca, dyamentowa,
Spadła na jego brodę sędziwą,
Zebrawszy pieniądz porozrzucany,
Głosem natchnienia wyrzekł dostojnie:

„O! krzepkie będą baszty i ściany,
„Bo miłość kraju nada im spojnię"

VIII.

I stał się rozgłos między mieszczany
Co senatorstwo na zamku czyni,
—„A my któż tacy? to nie Litwini
„Że lud do składki niepowołany?
„Tu idzie sprawa o naszą głowę,
„O bezpieczeństwo chat i ratusza,
„Gdzie przywileje pargaminowe
„Gdzie naszych swobod złożona dusza!
„Na nas by spadły krajowe klęski
„Starzec, niewiasta, dziecię przypłaci"
Tak na ratuszu wołał do braci,

Pan Otoczeńko burmistrz Wileński.
Pan Rajca miejski, Stefan Kotwica
Między swojemi głowa nielada,
Obywatelski zapał podsyca,
I tak powiada:

IX.

„Dom moj ubogi, nawet drewniany
„Ale mam w sklepie wiele towarów,
„Wolę coś stracić na miejskie ściany,
„Niż stracić wszystko z łaski Tatarów.
„Zbierałem grosze w ciężkim mozole,
„Bo nietak łatwo teraz o złoto,
„Jednak na waszym radzieckim stole
„Dwie kopy groszy składam z ochotą.

Pan pisarz miejski, człowiek z natury
Do dobrych czynów chętny i łatwy
Dał kopę groszy na miejskie mury,
Dla bezpieczeństwa swéj przyszłéj dziatwy.
Bo choć był człekiem nie piérwszéj wiosny
Siwiał przy aktach miejskiéj ławicy,
Jednak na córkę Pana Kotwicy,
Zawsze poglądał wielce miłośnie.
Tak jeden, drugi, wielcy i mali,
Skąpi i szczodrzy — z ochotą miłą
Złotém radziecki stół zasypali
Bo o powszechną sprawę chodziło.
Bo gdzie zagraża krajowi bieda
Tam są Litwini zawsze bogaci
Panom się nędzarz wyprzedzić nieda
Kto krwi nieleje, — to groszem płaci
Pomny co zawżdy od kraju bierze
Wszystko krajowi składa w ofierze

X.

Stało się tedy — pieniądz już gotów,
Kupiono cegieł, kamieni, chleba,
Lacz nim do kielni, lecz nim do młotów,
W przód do modlitwy udać się trzeba:
Bóg po ojcowsku patrzając z góry
Ludzkim starunkom zsyła pomoce,
Ukrzepia w grodach bramy i mury,
Wiekową twardość daje opoce,
Daje natchnienie planów w osnowie,
Obronnym basztom kształtuje czoło,
Robotnikowi umacnia zdrowie,
Nawiedza w pracy myślą wesołą,

XI.

Od Boga zbożne dzieło poczęto,
Król je od siebie jeszcze uświetnia,

I wielkie było na Litwie święto
W dzień Wojciechowy, przy końcu kwietnia,
W rozkwitającéj wiosny poranek
Piękna na niebie była pogoda,
Przed katedralny w Wilnie krużganek,
Lud się Litewski cisnął jak woda,
Kolebki panów i same pany,
Szlachta, mieszczanie, wszyscy w natłoku,
Każdy w świąteczny ubior przybrany,
A z uroczystym wyrazem w oku
Tłum różnobarwny, gwarny, wesoły,
Po katedralnym placu się błąka;
Rzekłbyś słuchając, że huczą pszczoły,
Rzekłbyś patrząc, że kwitnie łąka:
Rzuć tylko okiem jak tłum się mnoży,
Jakiém wrą życiem starzy i młodzi!
A łacno zgadniesz, że to lud Boży
Jakieś krajowe święto obchodzi.

XII.

Drzwi się otwarły. — Pod baldachinem
Dały się widzieć dwa jasne czoła:
Pasterz z Monarchą, jak ojciec z synem
Z katedralnego wyszli Kościoła.
Tabor schylony i siwobrody
Niesie krzyż Pański dłońmi drżącemi;
Król Alexander, choć jeszcze młody
Cóś bolejąco patrzy ku ziemi,
Wiedzie pod ręką starca — Pasterza
I jasną brodę lewicą głaska;
Lecz chorowita na twarzy kraska,
Wszystkich boleśnie w oczy uderza.
„Gasną powoli Jagiellonowie,
„Lach nas zagarnia więcéj a więcéj
„Kto wie! czy długo kołpak xiążęcy

„Na téj schorzałéj zostanie głowie!"
Taki gdzie niegdzie szmer przytłumiony
Między Wileńskim ludem się szerzy;
Ale tymczasem — zagrzmiały dzwony
Ze starożytnéj Krywejtów wieży,
Słychać śpiewanie, tłum coraz wzrasta,
Dzwony wstrząsają stolicą naszą,
A pochód idzie w około miasta
Tak, jak je murem wkrótce opaszą.

XIII.

Naprzód, na czarnych koniach trębacze
Grają sygnały, wydąwszy twarze;
Potém, nadworna chorągiew skacze
A święty Krzysztof na jéj sztandarze.

Daléj, ubrany w żupan bogaty,
Wielki Marszałek, z laską swéj cześci,
Wiedzie za sobą wszystkie powiaty
Ile ich ziemia Litewska mieści.
Szlachcic jak Centaur wrosły do siodła,
Jakby żelazny, zakuty w zbroi,
Pod powiatowym szlandarem stoi.
A każdy sztandar insze ma godła:
Tam dziarska Pogoń nad szlachtą wieje,
Tam święty Michał wojuje smoka,
Tam Żubr barczysty z Grodzieńskiéj knieje,
Ówdzie Anioła postać wysoka,
Ówdzie Opatrzność, ówdzie pęk kluczy;
Dobrze te godła znają sąsiady!
Gdzie pogoń skoczy, gdzie żubr zamruczy,
Gdzie anioł skinie mieczem zagłady,
Tam nieprzyjaciel uciekać musi,
Jakby powietrze spotkał morowe,

O pierś skalistą Litwy i Rusi
Nie jedno plemie strzaskało głowę.!

XIV.

Za powiatami, pamięć ich chwały,
Idzie Witolda działo armatnie:
I sztandar stary a wypłowiały,
Po bohaterze godło ostatnie.
Dwanaście koni z strusiemi kity,
Obwożą działo na podziw miastu;
A stary sztandar, ledwie rozwity
Niesie kolejno mężów dwónastu.
Na święte szczątki patrzą ciekawi
I proszą w duchu o łaskę Bożą:
„Kiedyż się drugi Witold nam zjawi
„Gdy Tatarowie Wilnu zagrożą?!

XV.

Po za armatą, po za sztandarem,
Pargaminową xięgę niesiono;
I szedł Wójt miasta za prawem starem,
Za nim Ławników i Rajców grono,
Za radą miejską — w pośród kapeli,
Pogoń litewską niesiono w górze,
Po za pogonią, szykiem stanęli
Strzelcy nadworni, jéj wierni stróże.
Potém Kapłani — wszyscy po parze,
Śpiewając hymny i wznosząc modły,
Potém Król, Pasterz i Dygnitarze,
A tłumy ludu zdala ich wiodły;

XVI.

Wietrze litewski! gdybyś te gwary
Zdołał pochwycić w jedną osnowę,
I świętym hymnem przeszłości staréj
Zawiać nam w piersi, orzeźwić głowę,
Abyś te dzwony, śpiewy, okrzyki,
Rozniósł po Litwie na wszystkie strony,
A potém zawiał — gdzieś na step dziki,
By je usłyszał Tatar spłoszony;
Że nie struchleje przy Krymskim Hanie
Nasza stolica Wielko-xiążęca,
Że mur obronny, co tutaj stanie,
Naród buduje, a Król poświęca...
Że Pasterz Pański, przodkując rzeszy,

Natchnione z nieba słowa ogłasza,
A lud je słuchać skwapliwie śpieszy,
Że tu jest niczem potęga wasza.
Pędź już na Litwę hordo zbójecka!
Puszczaj zagony z bliska, z daleka!
W krótce dolecisz na pola Klecka,
Gdzie Anioł pomsty z mieczem cię czeka!

XVII.

Fundament muru już okopany,
Okop na baszty już oznaczony,
Sędziwy biskup poświęca ściany,
Błaga nad niemi Bożéj obrony.
A chór kapłanów, w pięknéj gromadzie,
Do każdéj bramy z królem się zbliża,

Pod każdą basztę fundament kładzie,
I żegna kamień znamieniem Krzyża,
Pasterz kraj żegna życzliwą dłonią
Na cztery strony Bożego świata;
A lud się modli, a dzwony dzwonią,
A z wałów zamku grzmoce armata.

XVIII.

Tak, kiedy przeszli kres obwodowy,
Cały się pochód pod ratusz zwraca;
I Wojciech Tabor śpiewa hymn nowy,
Aby szczęśliwie wiodła się praca.
Kiedy wezwano świętego Ducha
Zadrżały ściany grodu Jagiełły,
I Witoldowskie działa ryknęły,

I w serce Litwy weszła otucha;
Że przez te murów święconych głazy
Nie przejdzie żadna do miasta klęska;
Ani morowéj powiew zarazy,
Ani Tatarów stopa zwycięzka.

XIX.

O! nieraz przeszły przez miejskie bramy,
I krwawa wojna i mór wybladły,
Bo w sercu Litwy duch nie ten samy,
Bo na Kościołach krzyże opadły,
Ale nad jedną basztą obronną
Musiał się Tabor modlić najdłużéj;
Bo jego modła była nie płonną,
Bo dziś ta baszta za twierdzę służy!

Twierdza to święta, twierdza potężna,
Któréj piekielna siła nie złamie,
Bo tam króluje Litewska xiężna —
Bogarodzica na Ostréj Bramie!
Tam co dzień ucho łaskawe daje
Na swych poddanych korne pacierze,
I Palemona szerokie kraje,
Od głodu, moru i wojny strzeże.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TATAROWIE POD KLECKIEM.

I.

Wiatr ciągle wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie,
Z wiatrem zaraza wioski wyludnia,
Wiatr piorunowe obłoki niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwéj,
Po nad miastami wicher się kręci,

Grady żną kłosy dojrzałéj niwy,
I szarpią kwiaty na sianożęci.

II.

To nie wiatr wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie;
To nie zaraza wioski wyludnia;
To Tatar nóż swoj morderczy niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwéj;
To nie huragan szalony hasa;
Tatar pustoszy złosiste niwy,
Tatar kwieciste łąki wypasa.
Ludzka się praca wniwecz obraca,
Krew chrześcijańska płynie jak fala,
Co dnia a co dnia, smolna pochodnia
Insze słomiane dachy zapala.

Daléj a daléj chmura się wali,
Wiatr ją zaledwie wyprzedzić zdoła
Gwizdnie na dachy biednego sioła,
Aby się ludzie w lasy chowali.
Gwizdnie uderzy o baszty wieży,
Ażeby strzelbę miano w odwodzie,
Sygnał baczności da dla rycerzy,
A serce niewiast strachem przebodzie.
Daremna wietrze twoja usługa!
Zaledwie kmiotek przestrogę zgadnie,
Zaledwie woły wyprzęgnął z pługa,
Już go tatarska horda opadnie.
Jaskółki skore niezawsze w porę
Zdołają zemknąć z strzechy rolnika,
Szczęka krzesiwo i strzecha gore,
I dym i płomień odlot zamyka.
I ginie ptasze.

Ledwie w poddasze

Zawionie wietrze twoja przestroga,
Zaledwie rycerz pałasz przypasze,
Już go krępują powrozy wroga.
Ledwie niewiasta wieścią strwożona,
Zdoła wykrzyknąć, włożyć krzyż Pański
Na biedne czoło, piersi, ramiona,
A już ją wloką w jassyr pogański.
Próżno rycerstwo po stepie hasa,
Zbiera podsłuchy, sledzi oczyma,
Z gór się przygląda, śledzi wśród lasa,
Wczoraj tu byli a dzisiaj niéma.
Tatar co chwila szlaki omyla,
Z każdéj przystani albo noclega,
Albo rozsypką czwałuje szybko,
To w niezliczony hufiec się zbiega.
Lecą — jak leci szarańcza mnoga
Z kraju do kraju, z niwy na niwę,

Za hordą ślady — krew i pożoga,
Przed hordą gońce — wieści trwożliwe.

III.

Król Aleksander złożon niemocą,
Do snu wiecznego ma zamknąć oczy,
Wtém, jeden goniec przyleciał nocą,
Że już Podole we krwi się broczy;
Przyleciał drugi, od Ukrainy,
Z wieścią o wojsku nieprzyjaciela,
Że Achmet — Geréj ze swemi syny,
Na cztery części hordę rozdziela.:
Jedna część w środek Litewskiéj Rusi,
Pod starą Mińska poszła warownię,
Druga, w Polesiu plądrować musi,
Do twierdzy Słuckiéj drze się gwałtownie,

A trzecia, pewna dobrego skutku,
Poszła na Połock z tysiącem koni,
A czwarta horda, już w Nowogródku,
Którego Gasztołd walecznie broni.
Przyleciał goniec trzeci i czwarty,
A wszyscy bladzi i przerażeni,
Bo pożar wszędzie już rozpostarty,
Bo Litwa góre w dziesięć płomieni.
Struchlało Wilno — Radni panowie
Do boku króla zbiegli się trwożnie,
Król konający, odzyskał zdrowie
Swoją powinność uczuł pobożnie,
Próżno Królowa do stop się ściele,
Próżno się Senet odradzić stara,
Król chce sam stanąć na wojska czele
Chrobre rycerstwo wieść na Tatara.
Rada Senatu długo się wlecze,
Lecz od zamiaru go nie odwiodła,

Młodzież rycerska brząknęła w miecze,
Przywdziała zbroje i konie siodła.
Kniaż Gliński wodzem! a każdy z panów
Gotuje hufce swoich żołnierzy,
Skreślono kartę wojennych planów,
Kto, dokąd, pójdzie i jak uderzy?
Już niepochmurne myślmi trwożnemi,
Ale zapałem błysnęły czoła,
Święte kochanie rodzinnéj ziemi,
Swych bohaterów do czynu woła.
I lecą z miasta oddziały chyże,
Stawić wrogowi rękę odporną,
Szczęsny Ilinicz, hrabia na Mirze,
Powiódł chorągiew pierwszą nadworną.
Spłonęły jego włości bogate.
Wróg nie przepuścił żadnemu siołu,
Hrabia pośpiesza dać mu odpłatę,
Jeszcze na świeżym stosie popiołu.

Odbić z niewoli niewiasty, dzieci,
Wzmocnić na duchu tych co upadli,
I w ciepłéj jeszcze krwi swoich kmieci,
Miecz zahartować by rąbał zjadléj.

IV.

Sprawa ojczysta, sprawa wiadoma,
Syn winien czuwać gdy cierpi matka;
Gdy idą bracia, wstyd zostać doma,
Albo oszczędzać krwi swéj ostatka!
Ze śmiałą głową, z duszą gotową,
Trzeba iść dla niéj na śmierć i klęski,
Więc pod chorągiew Illiniczową,
Stawił się rycerz, MARCIN STUDZIEŃSKI

V.

Jutro o świcie wojsko wyruszy,
Wygnać z pod Mira nieprzyjaciela,
Do bolejącéj kochanka duszy,
Zajrzał jaśniejszy promyk wesela,
Bo zawżdy serce zbywa kamienia,
Gdy powinności przed oczy staną,
Święty ich rozkaz wyrwał z uśpienia,
Pana Marcina myśl rozkochaną,
Nieczas o pięknéj myśleć Maryi,
Albo rozważać że serce boli,
Gdy na schylonéj braterskiéj szyi,
Ciąży haniebny powroz niewoli.
Więc rzekł do siebie. „Miecza nie złożę,
„Póki Tatarzyn w Litwie zostanie!

„Mogliby miasto napaść broń Boże!
„Och! a w tém mieście moje kochanie.
„Héj na Tatary! moja szabelko!
„Moj siwy koniu, do mnie co żywo!
„Mamy przed sobą drogę tak wielką,
„Szerokie pole i piękne żniwo!
„Do mnie stalowa przyłbico stara!
„Do mnie mój piękny rycerski pasie!
„Kiedy powrócę zbiwszy Tatara,
„Może pan ojciec ubłagać da się;
W takich nadziejach serce skąpawszy,
Westnął modlitwą, pomyślał o niéj,
Uronił łezkę, — weselszy, żwawszy
Już śni jak w polu Tatary goni,

VI.

Piękny poranek na niebie świta,
Rzeźwo tchnie wietrzyk w cieniu gaika,

Młoda niewiasta płaszczem okryta,
Z murów się miejskich zwolna wymyka
W około siebie patrzy nieśmiało,
I czegoś słucha, na kogoś czeka,
W tem za gaikiem cóś zatętniało,
I konny rycerz pędzi z daleka.
Przybiegł i dziarsko skoczył ze szodła,
Podali sobie ręce oboje,
Niewiasta miłem okiem powiodła
Jego sowito błyszczącą zbroję,
I białą rączką konia popieści,
Gęstą zasłonę z twarzy odwinie,
I rzecze głosem cichéj boleści:
„Już nas odjeżdzaszPanie Marcinie!.
To była Marja — pierwszy raz w życiu,
Przyszła w ten piękny lasek przy drodze,
Z domu rodziców wyszła w ukryciu;
Ach bo też ciężko było niebodze!

Chciała zobaczyć swego młodziana,
Na pożegnanie rzec mu: Szczęć Boże!
Chciała powiedzieć, że żadna zmiana,
Nigdy w jéj sercu postać nie może...
A przecież milczy, jakby się sroma,
Jak gdyby sama z siebie nierada,
Stoi niepewna i nieruchoma.
Na oczach usmiech a twarz jéj blada.
Tak, się gdy grzmiące chmurzysko sunie,
Płynie po przedzie obłoczek bladszy,
Nim łzawym deszczem na ziemię lunie
Naprzód się w jasne słoneczko patrzy,
To się wcień schowa — to wymknie z cieni,
To pobledniеje, to zarumieni.
Rycerz przywiązał konia do brzozki,
Tarczę przewiesił na siodła łęku,
Wbił z ziemię ciężki oszczep dziadowski,
I rysią skórę zwiesił na ręku.

VII.

Piękni w téj chwili byli oboje,
Ona do niego troskliwie rzekła,
„Panie Marcinie! Och ja się boję!
„Chociaż całego stał cię oblekła.
„Czy twoja pawęż dosyć jest zwinna?
„I czy twój pancerz dosyć jest gruby?
„Przebacz, żem śmiała, żem tak dziecinna,
„Ale się lękam twojéj zaguby.
„Twojéj zaguby... nie, to nad siły,
„Nie mogę myśleć o twoim grobie,
„Ciebieby w boju wrogi zabiły,
„Mnieby zabiła tęskność po tobie,
„Panie Marcinie! wracaj nieboże!
„A pierś sklepiście okrywaj zbroją,

„Rodzice moi zgodzą się może,
„Będę szczęśliwą — bo będę twoją"
—„Maryo dobra! — rycerz odpowie,
„Pancerz mój twardy miecz mój nie kruchy
„Niosę me życie, niosę me zdrowie,
„Alem najlepszéj pełen otuchy.
„Gdy syn Kościoła walczy z pogany,
„Nad głową jego anioł stróż lata,
„A jego piersi strzeże od rany,
„Bogarodzicy promienna szata,
„Czuję że w ostrzu mego brzeszczota
„Jest bezpieczeństwo i pomsta braci,
„Z tą myślą ręka potężniéj grzmota,
„A brzeszczot hartu swego nie traci,
„Nie zdoła przebić serca w mem łonie,
„Niech się Tatarzym jak chce rozhula,
„Kiedy pomyślę że ciebie bronię,
„Naszych Kościołów ludu i Króla,

„Zdrową mi zostań! ja wrócę zdrowo,
„Może Bóg spełni nasze nadzieje,
„Zamiast pancerza szatę godową,
„Z łupów tatarskich szytą przywdzieję.
„Pereł, brylantów sznurek bogaty,
„Twéj pięknéj twarzy blasku przyczyni,
„Z lamy złocistéj będą ornaty,
„Do katedralnéj naszéj świątyni,
„Sam Wojciech Tabor, wielki mąż Boży,
„Choć Go nie bawią złota ponęty,
„Będzie wyglądać jak jaki święty,
„Kiedy je włoży.
„Bywaj mi zdrowa! żywym zostanę,
„A nie zawstydzę mego oręża!"
I ucałował oczy spłakane,
I sam zapłakał... cichą łzą męża,
I w skoczył na koń i ręką skinął,
Och bo się trudno rozstać z niebogą!

I koniem zręcznie w polu wywinął
I pędem wiatru puścił się drogą.

VIII.

Ona została — z tłumionem łkaniem,
W cichéj nadziei, w cichéj obawie,
Krzyż na powietrzu skreśliła za nim,
I do modlitwy klękła na trawie.
Nie było zaklęć ani rozpaczy,
Jeno kochanie, jeno tęsknota,
Bo rycerz widział co słowo znaczy,
A więc mu zazdrość sercem nie miota,
I dziewic u nas serce dostojne,
Dhoć za kochankiem truchleje trwogą
Nigdy nie rzekła: nie jedź na wojnę,
Bo tam na wojnie zabić cię mogą.

Harcuje w polu młodzież pancerna,
Dziewice po niéj tęsknią kryjomu,
Została modła i pamięć wierna,
I tam w obozie i tutaj doma.

IX.

Na dzielnych koniach, w błyszczącéj stali,
Z iskrzącą bronią, z odwagą w oku,
Lidzkim gościńcem rycerstwo wali,
Na w pół przyćmione w pyłów obłoku.
Kniaź Michał Gliński z Wilna je wiedzie,
By w różne strony puścić gonitwy,
Chorego Króla wiozą poprzedzie,
Walczyć lub umrzeć chce w pośród Litwy.
Porozsyłano królewskie wici,

Do wszystkiéj szlachty Litewskiéj rzeszy,
Kto jeno poczciw, niech oręż chwyci,
I na obronę ojczyzny śpieszy.
Rosną chorągwie obrońców wiary,
Litwa grzmi echem wojennéj nóty,
Gliński rozesłał swoje rajtary,
Aby tatarskie zbadać obróty.

X.

Od Nowogródka wieść niezbyt trwożna,
Zbiega się szlachta, blizcy, dalecy,
Pan Marcin Gasztold czyni co można,
Gromi Tatara z murów fortecy.
Pan Iwan Tryzna i Pan Niemira,
Biją ich w polu, po zamurami,

Illinicz mści się za klęski Mira,
Gdzie wyginęli bezbronni sami.
Radziwiłłowi Nieśwież spalili,
Wioski spalili — lecz czynszownicy,
Wnet siedli na koń i w jednéj chwili,
Łeb im strzaskali w Dorohowicy,
Na zamku Słuckim dzielna niewiasta,
Wdowa po mężnym Kniaziu Siemionie,
Stała w obronie swojego miasta,
Jako orlica w piskląt obronie.
Tam głowa rodu, mały Kniaź Jerzy,
Pod okiem matki dziarsko się chowa,
Cóż jeśli Tatar z nienacka w bieży,
I lube dziecię w więzy zakowa!?..
Lecz Król i Gliński spokojni o nią,
Bo Xięztwo Słuckie wojska ma dużo,
A bojarowie Kniahinię bronią,
Zaścianki szlachty wiernie jéj służą;

Sama Kniahini sercem nietrwożna,
Na zamku armat, prochu dostatki,
Więc co do Słucka spuścić się można,
Na wierność bojar i rospaczc matki.

XI.

Ale Glińskiego insze rajtary,
Wpadli w sam środek tatarskiéj dziczy,
I bój był krwawy, mnogich bez miary,
Tatarów zbito. Zamiast zdobyczy,
Przynieśli wodzom straszne trofeja,
Dziesięć głów wroga, wbitych na dzidy,
I wieść straszliwą, że dzicz Gercja,
We sześć tysięcy śpieszy do Lidy.

XII.

Padła jak piorun myśl bojaźliwa,
O Jagielońską latarośl drogą,
Na zamku lidzkim Król dogorywa,
Na koń nie wsiądzie, porwać go mogą!
Więc rada w radę: Kanclerz Jan Łaski,
Jan Zabrzeziński i Jan Sobotka,
Króla do miękkiéj kładą kolaski,
A Wojciech Tabor siadł z nim do środka,
Królowa u nóg i do stolicy,
Wyruszył pochód. Wszyscy truchleli,
Senatorowie jako woźnicy,
Siedli na kozioł, cugle ujęli,
A Król co chwila w boleściach stęka,
Marzy Tatarów, do broni woła,

Drżąca, troskliwa, a wierna ręka,
Pot mu śmiertelny ociera z czoła,
Dwie doby jadąc noga za nogą,
Ledwie stanęli w Wileńskiéj bramie.
Wszędzie wieśniactwo przejęte trwogą,
Patrzy na pochód i ręce łamie.
Czapkę przed Pańską schyla karocą
I do zamkniętych okien się kłania,
Uczuwa swoją dolę sierocą,
Bo pęknął puklerz co ją osłania.
Stanęli wreszcie już w murach Wilna,
Lud się dowiedział upadł w otusze,
Miasto zaległa cisza mogilna,
Mogilna trwoga zaległa dusze,
Każdy kto może umknąć się stara,
Każdy przedśmiertne mówi pacierze:
„Wybaw nas Boże z mocy Tatara!
„Brońcie głów naszych dzielni rycerze!"

XIII.

Już Tatar w Lidzie — O milę w koło,
Puszcza zagony na każdą stronę,
Czy dwór, czy kościoł czy ciche sioło,
Wszystko zniszczone, wszystko spalone,
Z Lidzkiéj warowni widać pożary,
Słychać ich wrzaski, słychać płacz ludu,
Boże zastępów! broń twojéj wiary!
Zeszlij nad hufce anioła cudu!
Polski ochotnik zbliża się zwolna,
Kłóci się w twierdzy szlachta gwałtowna,
Jeśli tak dłużéj — horda swawolna,
Całą krainę z ziemią nam zrówna.

XIV.

Nakoniec jakoś zbiegło do Lidy,
Rycerskiéj szlachty dziesięć tysięcy.
„Héj czas już rzucić jarzmo ohydy!
„Czas do roboty wziąść się goręcéj!"
Krzyknął Kniaź Gliński: i w jedną stronę,
Wysłał pancernych zastęp niemały,
W drugą rajtary swe wyćwiczone,
W trzecię puszkarzów z dobremi działy,
I w Imie Boże, począł się taniec,
Szlachta się bardziéj, bardziéj ośmiela,
Odetchnął nieco wiejski mieszkaniec,
Bo już obrońcę, bo ma mściciela,
Codzień przewagi nowe nad zgrają,
Polskiego męstwa nowe popisy,

Codziennie jeńców przyprowadzają,
Lub niosą głowy wbite na śpisy.
Nakoniec nocą, trzecią czy czwartą,
Chlubnym się plonem uwieńcza praca:
Machmed-Gereja z Lidy odparto.
Znów w nowogródzkie strony powraca,

XV.

Hejże ha za nim! — kręci się zmija,
Nie prostą drogą ale rozsypką,
Niechaj nam sprzyja Jezus Marya!
Ścigać ich wszędzie, doganiać szybko,
Ale zbójectwo wichrem się błąka,
Błędnemi szlaki lecą jak wściekli,
Gdzie jest Oszlaszyn, Cyryn, Połonka,

Byli — spalili i wlot uciekli.
Litwa ich tropi — horda zbojecka,
Umie pogoni zmykać nielada,
Wreszcie przylata pod mury Klecka,
I tam swój wielki Tabor zakłada,
Tam krwawych łupów czyni podziały,
Z krwi myją ręce, umacnia siły,
Tam wszystkie hordy zebrać się miały,
Co w dziesięć szlaków Litwę niszczyły.

XVI.

Nad grzązkim stawem, dwóma obozy,
Synowie Hana, dwóch mężnych braci,
Kując łańcuchy, wijąc powrozy,
Czekają Litwy w groźnéj postaci;

Ostrzą na głazach krzywe szabliska,
Sprawiają w łukach cięciwy, groty,
Czynią przechwałki i pośmiewiska,
I rozbijają białe namioty.
Białe namioty w polu rozbili,
Konie puścili na grzązką paszę,
Gdy niespodzianie, o rannéj chwili,
Nadbiegło chrobre rycerstwo nasze.
Naprzód Glińskiego rajtarja wpada,
Zabiera szatry w polu rzucone,
I co się pasły ich koni stada,
Zgania tabunem na polską stronę.
Tatarzy szkodę odbijać lecą,
Wśród rozpaczliwych krzyków i wrzawy,
I hufiec pieszy i konnych nieco,
Przez wrzącą rzeczkę bronią przeprawy.
Gdzie był brod płytki miejscu piasczystem,
Napięli łuki, puścili strzały,

Żelazne groty ze szczękiem, świstem,
W litewskie hufce jak grad leciały,
Tak gdy niebaczny bartnik podrażni,
Na rój lecące gromady pszczole,
Z brzękotem groźby i nieprzyjaźni,
Tysiące żądeł twarz jego kole,
Celnie strzelają z łuków Tatarzy!
Strzał wyleciało mnogie tysiące,
Że za ich cieniem, jak mówią starzy,
Jakby za chmurą — skryło się słońce,
Nie jednen pocisk przestrzelił głowę,
I nie jednego powalił z siodła,
Strzała przebiła blachy stalowe,
Albo rumaka ciężko do bodła.
Litwa się cofa, — ale po chwili,
Śmielej się pocznie brać ku przeprawie,
Radziwiłłowscy z rusznic strzelili,
A broń to była nieznana prawie,

—„Héj w Imie Boże! przebrnąć te brody!
A była gęsta zarośl u brzega;
Więc Litwa rąbie chrósty i kłody,
Rzuca do rzeki i po nich w biega.
Gliński jak orzeł jak błyskawica,
Chrościanym mostem rzekę przebywa,
Na kark tatarski wpada konnica,
I rzeź nastaje krwawa, straszliwa:
Grzmot od wystrzałów twardy zgrzyt blachy,
Tętnienie koni, rżenie, kurzawa,
Ciężkie w powietrzu mieczów zamachy,
Tam wódz rycerstwu ducha dodawa,
Tam konający „dobij mię!" błaga,
A sznurem płynąc warczy posoka,
Z piersi hordyńców pierzchła odwaga.
Proszą o wsparcie swego proroka,

XVII.

Pod Kniaziem Glińskim konia zabito,
Ale się rumak nadarzył świeży,
W skoczył nań—„*Za mną!*" grzmiące kopyto,
Znów daje hasło gdzie iść należy.
Wśród żądeł mieczów, strzał i bardyszy,
Kurz pokrył wojsku oczy i twarze,
A jednak widzi a jednak słyszy,
Gdzie im Kniaź Gliński uderzyć każe.
Szlachta się waha słabnie, w natłoku,
Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła.
W tém, Nowogródzka chorągiew z boku,
Idzie na pomoc jak miecz anioła.
Wściekły pohaniec, znów ruszył w taniec,
Wzmógł się na siłach, tabor zamyka.

Ale Grodzieńskich puszcz wychowaniec,
Wziął go na oszczep jak bierze dzika,
Mostem padł Tatar zbity zwycięsko,
Konie swych jezdców dławią i tłoczą;
Chorągiew Mińska wespół z Grodzieńską,
Po stosach trupów krążą ochoczo.

XVIII.

Lecz nowy sygnał do boju dzwoni,—
Nowy zasiłek pomocy boskiéj —
Hufiec koronny we trzysta koni,
Lekko, z husarska wiedzie Czarnkowski.
Zdala rozstawił hufce na górze
Od trąb od bębnów zagrzmiała niwa,
Aż wróg się zdumiał— wojsko tak duże

Skąd na obronę Litwie przybywa?
Znowu Tatarzyn szyki rozeprze,
Chce się orzeźwić a tu już zmierzcha
Lecz sparł go Gliński przy rzece Ceprze,
Położył trupem — a reszta pierzcha.
Wrogów dwadzieści padło tysięcy,
A któż policzy konie poległe?
A trzy tysiące tatarskich jeńcy,
Przy murach Wilna dzwigało cegłę,
Uszły tatarscy obaj xiążęta,
Przez grzązkie błota, przez ciemne lasy,
A Litwa długo ten dzień pamięta,
Będzie pamiętać na wieczne czasy.

XIX.

Od krwi wylanéj staw po za Kleckiem,
Dziś Kraśnym - Stawem naród nazywa:

Tarcze i hełmy z godłem zbojeckiem,
Rolnik na polach dziś wyorywa.
A kurhan jeden, drugi i trzeci,
Kopcem tatarskim dotąd się zowie,
Idzie pamiątka z ojców na dzieci,
Że tu pobici są Tatarowie.
A choć od owéj wielkiéj zagłady,
Cztéry stólecia mija bez mała,
Dziś jeszcze mówią swym wnukom dziady
O wielkich czynach Kniazia Michała.
Kniaź był wybawcą dla Litwy całéj,
Był bohaterem pomiędzy braćmi,
Któżby odgadnął, że blask swéj chwały,
Podłem zabójstwem i zdradą zaćmi.

XX.

Modła serdeczna niebo przebija,
Ale wyroków zmienić nie zdoła.
Prosząc za lubym, tęskna Maryja,
Odwiedza święte progi kościoła.
Próżno bolesną dzieląc się troską,
Do krat pokuty uczęszcza rada;
Przed Zbawicielem i Matką boską,
Stan swój duszy kornie spowiada.
Ale niebiosa próżno zaklina:
Niebo niechciało przyjąć ofiary,
Nie ocaliło zdrowia Marcina.
Podczas morderczéj bitwy z Tatary,
Oszczep mongolski strzaskał mu ramię;

Strzała puszczona z twardéj cięciwy,
Ostrym się grotem w piersiach załamie;

Rycerz się zachwiał, — padł jak nieżywy:
Wśród bojowiska nikt nań niezważa.
Ledwie po bitwie, a ciemną już nocą
Jakieś życzliwe serce hussarza,
Towarzyszowi przyszło z pomocą:
Ocalił brata co krwią oblany,
Już dogorywać w mdłości poczyna;
Omył, przewiązał, zasklepił rany,
Na tatarskiego wsadził mierzyna,
I zaprowadził na wieś pobliską,
I tam wypytał aż do ostatka.
„Jak herb Waszmościu? jakie nazwisko?
„W jakim powiecie ojciec i matka?
„Jestem Studzieński, — Marcin mi imie
„Gryf jest herbowym moim klejnotem;

„Ród mój w Poznańskiém bywał w estymie,
„Aleśmy jakoś zbiednieli potém;
„Ojciec i matka dawno już w grobie,
„A mnie tu nędza w świecie pędza:
„Ale jak mogę przypomnieć sobie,
„Że mam w Oszmianie krewnego Xiędza.
„Tam chciałbym dobrnąć gdy będą siły,
„A jesli umrę między obcemi,
„Wszakże tu będą kopać mogiły:
„Będzie i dla mnie trzy łokcie ziemi!
„Umrzeć dla kraju i dla Pana Boga,
„Nie żal polskiemu bojownikowi!
„A już tam droga moja nieboga,
„Zgadnie, żem umarł i pacierz zmówi.

XXI.

—„Ej bredzisz Waszmość—husarz odpowie:
„Rany Waszmości goją się prawie;
„Za tydzień, drugi, da Pan Bóg zdrowie:
„Ja do Oszmiany sam cię dostawię.
„Moi rodzice żyją tam blisko;
„I ja mam kraśny cel mych zalotów,
„A jak jéj imie, a jak nazwisko
„Nie powiem Waści, boś odbić gotów."

Dzięki staraniom bratniéj opieki,
Od ran tatarskich boleść nie taka:
Marcin Studzieński chory, kaleki,
Został pod Kleckiem w chacie wieśniaka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

ZGON WOJCIECHA TABORA.

I.

Król Alexander już w Wilnie złożył
Na łonie śmierci, znękaną głowę,
Nawet téj pięknéj chwili nie dożył,
Aż mury miejskie były gotowe.
Postrach tatarski grzał do roboty,
By się zasłonić prędzéj od klęski,

Ale najwięcéj dawał ochoty,
Wielki Mąż Boży, biskup wileński.
Grosz szczodrobliwy sypał w ofierze,
Miłemu miastu w jego potrzebie,
Otworzył w wioskach mnogie szpichlérze,
I robotników garnął do siebie.

II.

We dnie i w nocy zwożono cegły,
Dzwigane ludu wielkiemi siły;
Już się w obronne ściany uległy,
Już się w wysokie baszty zpiętrzyły.
A każda wieża głowę piętrzastą,
Chlubnie podnosi na Litwę całą,
I Gedymina odwieczne miasto

Piękną a groźną postać przybrało.
Snadź duch Jagiełłów czuł radość nową,
Z wysokich niebios gdy spojrzał na nie,
Przez Gedymina pierś granitową,
Przebiegło ciepło w zimnym kurhanie,
Do swéj wzniesiona już wysokości,
Kiedy ostatnia baszta stanęła,
Sędziwy biskup płakał z radości,
Widząc owoce swojego dzieła.
I drżące ręce wznosi ku ścianie,
I do modlitwy kolana chyli.
„Teraz w pokoju puść mię już Panie!
„Bo upragnionéj dożyłem chwili!
„Zabezpieczenie w potomne wieki,
„Twojego ludu widzą me oczy!
„Niechże mur drugi, mur Twéj opieki,
„To chrześcijańskie miasto otoczy."

III.

Zatém rozkazał uderzyć w dzwony,
A krzyż Chrystusa niosąc po przedzie,
Ze wsi i z miasta lud zgromádzony,
Dokoła murów z obrzędem wiedzie
Pokrapia ściany święconą wodą,
Przy każdéj baszcie dłużéj przystanie,
A zacne dłonie wznosząc nad trzodą,
Z miednickiéj bramy dał przeżegnanie.
Z uszanowaniem głowy uchyla,
Pada na klęczki orszak narodu,
I wielka a święta chwila,
W życiu pasterza i w życiu grodu.

IV.

Och! bo chwil wielkich w życiu tak mało,
Radość bez ofiar stać się nie może.
Wkrótce stroskane Wilno płakało,
Po swoim ojcu, po swym Taborze.
Złaman chorobą, pracą i laty,
Czuje że stanął w wieczności progu.
Pójdźmy zobaczyć w jego komnaty,
Jak sprawiedliwy umiera w Bogu.

V.

Z białą rzęsistą od pasa brodą
Z obliczem piękném, suchem, schorzałem,

Siadł starzec w krześle. Czoło pogodą,
Oczy się jego iskrzą zapałem,
Habit świętego Franciszka gruby,
Na zwiędłych członkach jak leży,
Bo Wojciech Tabor uczynił śluby,
Dać się pochować w mniszéj odzieży.

Przy nim oprawna w dębowe deski,
W mosiężne klamry, spoczywa księga.
To Pismo Święte — pokarm niebieski,
Wierzącéj duszy moc i potęga.
Na starcu znaczne cierpień ostatki,
Lecz się już dusza niebem nasyca,
Wyswobodzona z kościanéj klatki,
Chciałaby lecieć jak gołębica,
W górę!.. wysoko!... i wnet uleci,
Lecz jeszcze miłość ku ziemi zowie.

Ojciec pożegnać musi swe dzieci,
Bo tu spłakani stoją synowie.

VI.

Naprzód—Król Zygmunt, wiedząc że chory
Chce uczcić starca ostatnie chwile,
Przysyła do niego swe senatory.
Pasterz ich przyjął — wysłuchał mile,
I głosem cichym jako brzęk pszczoły,
Przemówił do nich w następne słowa:
„Nie płaczcie Waszmość, gdym ja wesoły
„Nas nie rozdzieli deska grobowa!
„Jeśli oglądam Pańskie Oblicze,
„Jeśli wysokie Niebo posiędę,
„Wiecie jak ziemi ojczystéj życzę,

„Tam modlitwami służyć jéj będę!
„Za Króla, za was i za rycerze,
„Za stany miejskie, za stan poddańczy,
„Będę się modlić.— Niech Bóg was strzeże,
„Od głodu, moru, ognia, szarańczy!
„Niechaj wam Niebo męztwa przyczyni,
„Od pól oddala grady i susze!
„Będę strzedz Litwy a wy Litwini,
„Módcie się tutaj za grzeszną duszę!

VII.

Przeżegnał Panów skostniałą ręką;
Wyszli ze łzami senatorowie,—
Wszedł burmistrz miasta, pan Otoczeńko,
Padł na kolana i tak doń powie:

„Panie! Wy ojcem naszym jesteście!
„Tyleście miastu dali opieki,
„Raczcie zezwolić by w naszém mieście,
„Stanął twój pomnik w potomne wieki!
„Niech go wyrobią nasi rzeźbiarze!
„Niech go wykują nasi kowale!
„A my Magistrat, jak dług nam każe
„Sami ustawim na miejskim wale!"
—„Panie Burmistrzu! praca za długa,
„Mnie za ten pomnik nie kupisz nieba,
„Jakaż tu była moja zasługa?
„Żem ja was kochał? bo tak potrzeba!
„Te wasze baszty, te wasze ściany,
„Ta łza co u Was w oczach się kręci,
„To będzie pomnik mój wykowany!
„On moją pamięć trwaléj uświęci!
„Czy nieprzyjaciel, czy czas go zburzy,
„Wy się nie leńcie kielni i młota.

„Niech wasze głowy strzeże najdłużéj,
„Aby nie poszła marnie robota,
„W bramie Miednickiéj postawcie straże,
„A gdy zadzwonią że już mię niéma,
„Pierwszy kto w niéj się jutro ukaże,
„Pięćset kop groszy niechaj otrzyma!
„Grosz na to w mojéj znajdziecie skrzyni,
„Opieczętowan wielce starannie,
„Niechże to łaska wasza uczyni,
„Bom tak ślubował Najświętszéj Pannie!
„Bywajcie zdrowi mój Otoczeńko!
„Módlcie się za mną gdy w Panu zamrę,
„Bywajcie zdrowi!" I drżącą ręką
Mosiężnej xięgi otworzył klamrę,
I począł czytać — i święta rosa,
Zwilżyła oczy co jeszcze gorą.
Snadź świętéj duszy tęsko w niebiosa!
Burmistrz i Radni wyszli z pokorą...

On się zadumał, w górę wzniósł oczy,
Przycisnął mały krzyżyk do łona,
Wtém jęknął Kapłan, co stał z uboczy,
Że Pasterz kona....

VIII.

O zmroku w mieście zagrzmiały dzwony
I wieść żałośna wszystkich uderza,
Że już dobrego niemasz Pasterza!
Płacz po nim ludu osierocony!
Mnogi się naród tłoczy w ulicy,
Wszyscy żałośni, wszyscy ciekawi,
„O! na pasterskiéj naszéj stolicy,
„Drugi się Tabor nie prędko zjawi.“

IX.

Pan Burmistrz spełnił to co mu każe,
Święty nieboszczyk — nazajutrz do dnia
W Miednickiéj bramie postawił straże,
By najpierwszego spotkać przechodnia.
O piątéj z rana bramę otwarto:
Ktoś idzie pieszo z miednickiéj drogi...
I w miejskiéj bramie stanął przed wartą,
Pokaleczony, żołnierz ubogi.
Twarz ma i postać jeszcze młodzieńczą:
Stąpa szykownie, zbudowan składnie,
Lecz głuchym kaszlem piersi mu brzęczą
I skaleczoną ręką nie władnie.
Skłonił się warcie, wstrzymał się w bramie,
Spojrzał na nowe żelazne wrota,

I rzekł z bolescią, co łez nie kłamie.
„Gdzież się ja udam biédny sierota!"
—„O ja waszmości drogę pokażę!
„Pójdziesz na ratusz, sąd cię opisze."
Rzecze mu żołdak co pełnił straże,
Ze śmiechem patrząc na towarzysze.
„Na ratusz! krzykną.—Kto Waszmość taki?
„I zkąd przychodzisz w tak rannéj chwili!"
Rozswawolone miejskie żołdaki,
Halabardami go otoczyli.
„Po co na ratusz? Héj! hola! hola!
„Albom ja zbrodzień? rzekł żołnierz śmiele,
„Ja wracam z boju, z Kleckiego pola,
„Tatarskie rany noszę w mém ciele!
„Szanujcie rany! bo jak Bóg miły,
„Jeszcze choć szczudłem bronić się mogę!"
Ale żołdaki go ostąpiły,
Wejścia do miasta przecięły drogę.

„Wasz ratusz żadną nie jest mi władzą!
„Ja jestem szlachcic!" wołał kaleka;
Lecz go żołdaki gwałtem prowadzą,
Gdzie na ratuszu obrada czeka.

X.

Poustrajani w szuby sobole,
W bogate pasy, w błyskotek wiele,
Panowie radni siedzą przy stole:
Pan Burmistrz miasta siedzi na czele,
A obok niego radni, ławnicy,
Z krętemi wąsy, z butnemi głowy,
A obok pana Piotra Kotwicy,
Siedzi poważny pisarz sądowy.
Kunsztownie tkaną perską makatą,

Pozaścielanō stoły i ławy,
Pan Burmistrz trzyma xięgę bogatą:
To magdeburgskie miasta ustawy.
Jeden ma w czapce kitę pierzastą,
Drugi ma spinkę z drogich kamieni.
Świetneż być musi wileńskie miasto,
Gdy jego rajcy tak przystrojeni.

XI.

Straż do ratusza wiedzie żołnierza
Kędy zasiada rajców drużyna.
Każdy ciekawém okiem go zmierza,
Oblicze jego coś przypomina.

Ten co miał zwierzchność nad miejską wartą.

Tak przed urzędem rzecz swoją czyni:
„Ledwie Miednicką bramę otwarto,
„Ten pierwszy człowiek zjawił się przy niéj.
„Kto on? zkąd idzie? jam go nie pytał,
„A resztę czyńcie jak się wam zdawa."
—„Marcin Studzieński! znamy go znamy!
Wykrzyknął burmistrz i rajców grono
I wnet za przejście Miednickiéj bramy,
Pięćset kop groszy mu wypłacono.
Biédny kaleka patrzy się, dziwi
Swemu bogactwu i sam nie wierzy;
Lecz go oblegli rajcy życzliwi,
Jak przyjaciele, jak bracia szczerzy:
„Boska nad tobą czuwa opieka,
„Co było nie jest — w rejestr nie piszem,
„Boś ty wybrańcem świętego człeka,
„Bądź naszym bratem i towarzyszem.
„Powiedz nam, z jakiéj przybywasz strony,

„Czemu z twych oczu łza bujna płynie,
„Czemu powracasz, pokaleczony,
„Wszystko nam powiedz Panie Marcinie!

XII.

„Krótkie me dzieje sławetne Pany!
„Odpowie żołnierz — powieść nie miła:
„W bitwie pod Kleckiem byłem zrąbany,
„Strzała tatarska pierś mi przebiła.
„Dobry towarzysz przybył z pomocą,
„Ratował, leczył, jak brat jedyny,
„A tuląc moją dolę sierocą,
„Zawiódł w Oszmiańskie, do swéj rodziny,
„I ja tam miałem krewnego xiędza,
„U Franciszkanów na Mieście Starem,

„Ale w klasztorze zwyczajnie nędza;
„Czułem, że jestem xiędzu ciężarem,
„Ramie mam chore, szablą nie władnę,
„Żołdem rycerskim żyć już nie mogę,
„Nie umiem wdać się w rzemiosło żadne,
„Więc kij żebraczy... i daléj w drogę,
„Tedy z Oszmiany pieszo wychodzę,
„Ale zaledwiem uszedł półmili,
„Jacyś mię zbójcy napadli w drodze,
„I towarzysza mego zabili.
„Pokaleczony, z grosza odarty,
„Inaczéj radzić gdy było próżno,
„Wlokłem się tutaj, ot dzień już czwarty.
„Z wioski do wioski żyjąc jałmużną;
„Szedłem nie wiedząc gdzie głowę złożę,
„Ujął mię żołdak przy bramnéj warcie,
„Gdy miłosierdzie cudowne Boże,
„Przez wasze ręce dało mi wsparcie."

XIII.

„Snadź ci nadeszła nagrody pora,
„Żeś mężnie walczył w Kleckiéj potrzebie,
„Błogosławiona dusza Tabora,
„W ostatniéj chwili przeczuła ciebie.
„Ciebie wybrały Boże wyroki,
„Narzędzie cudu widzimy w tobie,
„Pójdźże nawiedzić pasterza zwłoki,
„Na dobroczyńcy pomódl się grobie."
Tak doń mówili miejscy rajcowie,
A pan Kotwica grzecznie i skromnie
Wziął go na stronę i cicho powie:
„A na wieczorek przyjdź Waszmość do mnie!"

XIV.

W dworcu biskupim smutne dziś rano;
Litwa straciła swego Pasterza,
Dzwon katedralny głucho uderza,
Niosąc po kraju wieść opłakaną.
Na prostéj ławie, prostym kobiercu,
W izbie gdzie świateł iskrzy się siła,
Leży mąż Boży — z ręką na sercu,
Już dusza jego... tam gdzie tęskniła,
Już z wysokości krainy górnéj,
Może się patrzy na Litwę drogą!
Xięża żałobne pieją nokturny,
Tłumy się ludu cisną jak mogą,
Żałość rozlana w modlitwie, w śpiewie,

Po wszystkich twarzach łzy bujne biegą,
Każdy się modli — ale sam nie wie:
Modlić się za nim, albo do niego.

XV.

Marcin Studzieński wespół z drugiemi,
Gdy się docisnął, wsparty na kuli,
U nóg pasterskich klęknął na ziemi,
Wdzięczną modliwę lejąc najczulej,
A między ludźmi już rozgłos lata,
Że to jest rycerz, że to ten samy,
Co do Miednickiéj pierwszy wszedł bramy,
Że mu sądzona kwota bogata.
Marcin się modli— Czy dusza wrząca,
Dawne mu w sercu wspomnienia budzi?

Czy od zbytniego natłoku ludzi,
Czy z niezliczonych świateł gorąca?
Głowa się mroczy... chwieje się, b'adnie,
Ledwie przez ciżbę wyszedł do sieni,
I na podłogę pada bezwładnie,
Jak upadają gromem rażeni.
Długą czy krótką przeleżał chwilę,
On nie pamiętał a nikt nie zważa,
Ciało obwite w łachman nędzarza,
A dusza strojna w skrzydła motyle,
Przez wspomnień kwiaty, przez wspomnień
ciernie,
Leci... o kwiatek, o cierń zahaczy...
To — uśmiech lubéj co kocha wiernie,
To — krwawa bitwa, to — stroj żebraczy,
To — napad zbójców, to rzewna modła,
Przy zacnych zwłokach ojca Tabora,
Wtém go chrapliwa mowa ubodła,

„A powstań Waszmość! spać tu nie pora!
„Spać tu nie miejsce, wynoś się skoro!“
Żołdak, co w sieniach odprawiał straże,
Szarpnął go silnie za rękę chorą,
I z progów Pańskich wynieść się każe.

XVI.

Powstał Studzieński — ale o dziwa!
Strzaskana ręka już go nie boli,
Rana co w piersiach, już nie narywa;
Odrzucił szczudła — przeszedł powoli,
I sam nie wierzy, sam siebie bada,
Czy jest w istocie zdrowym i hożym:
A więc ludowi cud opowiada,
Co mu się trafił przy Mężu bożym.

Tłoczy się naród, blizki, daleki,
Słucha powieści, cudom zawierza:
Bo sam oglądał rany kaleki,
I wierzył w świętość Ojca Pasterza.—
Dzisiaj powiecie: „bajka to stara!"
Anachroniczna ta powieść cała
Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
Dziś z chrześcijańskich serc uleciała.
A czyż ja mówię, że ona żyje,
Lub że dziś nasze czyny okrasza?
Ze starych kronik powtarzam Chryję:
Wierzcie, niewierzcie, jak łaska wasza,
Dzisiaj nie nęcą anioły boże,
Dzisiaj niestraszni piekielni czarci,
Czy cud być może? albo niemoże?
Czyśmy go warci? albo niewarci?
Czyśmy już w naszéj rozumnéj pysze
Wydarli Panu berło z koroną?

Ja w to niewchodzę lecz powieść piszę
Z czasów gdy jeszcze w cuda wierzono.
Marcin Studzieński zeznanie cudu,
Do katedralnéj zaniósł Świątyni:
Stało się jawném w obliczu ludu,
Jak Pan maluczkim swe łaski czyni.

EPILOG.

—

Dał Pan Kotwica wieczór wspaniały,
Powrót obchodzić chciał Marcinowy,
Pięćset kop groszy — to grosz niemały,
Więc go do spółki ciągnął handlowéj.
Marcin zezwolił, bo z jego chatą,
Spółkę *serdeczną* miał z dawnych czasów;
Więc uradzono na przyszłe lato,

Wspólnie nakupić pereł, hatłasów,
Po drogie wina posłać do Gdańska,
Kupić złotogłów', futra sobole,
„A co do reszty... w tém łaska Pańska,
„Spuśćmy się całkiem na Jego wolę!"
Odwiódł na stronę pana Pisarza,
„Stary kolego! — rzekł mu do ucha—
„Czy widzisz Waszmość co mi Bóg zdarza
„Miłoż mieć zięciem takiego zucha."
Pan pisarz miejski pojął te słowa,
Że się z nierównym spotkał szermierzem,
Ale co wyrzekł — milczenie chowa
Kronika stara z któréj to bierzem,
Musiał pomyśleć: „niech kat naruszy
„Trzeba odkosza zgryźć pokryjomu!"
Potém wziął czapkę przytulił uszy,
I powędrował cicho do domu.

A tam na uczcie czy pito wiele?
Wiele zjedzono soli i chleba?
I czy na końcu było wesele?
O tém i mówić zda się nie trzeba.

KONIEC.